11. maja. Nr. 14. Rok 1861

Czytelnia dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1, 11, i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt, półrocznie 2 zł. 20 cnt. ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

KOLEŻEŃSTWO.

Skoro przyszliśmy do poczucia tej prawdy, że nie jesteśmy odrębnostkami w narodzie ale jego żywotną częścią, która jako latorośl młoda żywi się sokami jego, aby w przyszłości wydać owoce zdrowe; zatem, że cel życia naszego jest być użytecznymi narodowi, zastanówmy się bliżej nad tem, co nas na prawdziwych obywateli kraju najpewniej wykształci.

Mówiono nam zawsze: uczycie się dla siebie, i jako główny cel życia, do którego dążyć mieliśmy, postawiono nam przed oczy zrobienie karyery, wywalczenie sobie niezawisłej, świetnej pozycyi w świecie. O tem zaś, że nauka a za nią idąca karyera i stanowisko są dopiero środkami do służenia ojczyźnie, i że to głównym celem życia — nikt nie wspomniał. Najwięcej gdy ktoś powiedział, że zostawszy tem lub owem będziesz użytecznym ludzkości, zawsze jednak główna rzecz: karyerę własną miej na oku, co ci tam dopiero od tych zabiegów zbędzie, poświęcisz ludzkości.

Jeżeli taka rada już jest występna i grzeszna jako niechrześciańska, bo na miłości tylko własnej oparta, to tem grzeszniejsza, że pomija naród własny i ojczyznę, a podstawia natomiast ogólnik: ludzkość. Ludzkość składa się z narodów, a narody z ludzi; dla narodu więc żyć trzeba, aby być ludzkości użytecznym — bo dla ludzkości całej zdziałać coś mogą tylko ludzie wielcy, z gwiazdą geniuszu na czole. Zredukowawszy tak cel życia młodzieńca do niskich i poziomych celów dbania li o karyerę własną, nie dziwną byłoby rzeczą, gdyby przyszły obywatel o tyle tylko dbał o kraj, o ileby mu tenże korzyści przynosił. Spodleniu takiemu moralnemu, do jakiego tylko pewien naród z wrodzonem mu sobkostwem i hasłem: „*ubi bene ibi patria*,“ jest zdolny, zapobiegało zawsze koleżeństwo.

Koleżeństwo, ten święty związek serc bratnich. towarzyszy nam przez całe życie; poczyna się przy abecadle a kończy w grobie. Młody chłopiec pomimo surowych zakazów niewdawania się z lampartami, lgnie zawsze serdecznie do swoich braci i dla nich wszystkoby poświęcił. I tutaj, poraz pierwszy w życiu, wstępuje jako członek do małego społeczeństwa szkolnego, poczuwa się już do obowiązków względem niego, pełni je ochotnie i pierwszy raz powątpiewa o nieomylności tej maxymy, że li tylko na to się urodził, aby zostać tem lub owem. Nie raz ująć mu się przyjdzie czynnie za kolegów swoich, nie raz bywa karany za to i już uczy się cierpieć i poświęcać dla dobra ogółu. Już wtedy z pogardą odpycha zdrajcę, który dla widoków własnych poświęcił swoich kolegów. Później, kiedy umysł rozwinie się a uczucie narodowości przepełni serce, koleżeństwo rośnie do najwyższej potęgi; wtedy łączy już młodych ludzi silnie miłość ojczyzny i braterstwo.

W młodości najbardziej zdolny człowiek do wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne, bo nie chce znać egoizmu i odpycha go ze wstrętem od siebie. Zgubiony ten dla ojczyzny i społeczeństwa, kto wcześnie dojrzał w rozumie i nigdy nie będąc młodym, począł zaraz myśleć o sobie. Koleżeństwo dla takich jest nieubłagane i wytyka ich pogardliwem mianem: to sobek!

Chociażby kto największemi obdarzony zdolnościami wielkie rokował na przyszłość nadzieje, nigdy on narodowi nie odda takich usług, jakby powinien, jeżli go koleżeństwo nie zaprawi wcześnie do obywatelstwa. Bo kraj to także szkoła na wielką skalę: miłość ojczyzny nauczycielem, obywatele uczniami, kolegami i braćmi między sobą. Gdyby młodzież, co uchowaj Boże, wyrugowała od siebie koleżeństwo; gdyby zamiast żyć wspólnem życiem rozprysła się na jednostki, przestałaby być polską młodzieżą.

Rządy chcące wynaradawiać dobrze oceniają wagę koleżeństwa w młodzieży i skutki, jakie ono dla kraju przynosi. To też surowo zakazują wszelkich stowarzyszeń, któreby związek młodzieży silniejszym czyniły. Jednak daremna to praca — bo miłości braterskiej, wyssanej z piersi matek, nic z serc wyrugować nie zdoła!

Poznaliśmy już istotę koleżeństwa opartą na miłości bratniej, jego objawy i skutki teraz i potem. Wypadałoby teraz rozpatrzyć się w naszem koleżeństwie, czy też ono także jest takie, jakie dzisiaj właśnie być powinno; a jeżeli nie, jaka temu główna przeszkoda. Wprzód jednak spoglądniejmy w stecz na życie koleżeńskie dawnej młodzieży polskiej, a z kilku przykładów jeszcze lepiej go poznamy i może jaką regułę na dziś dla siebie wyciągniemy.

Jak szkoły tak i koleżeństwo, to jest życie młodzieży w szkole, ma swoją historyą, lecz mało na to zwracano uwagi i pisząc o szkołach dawnych, pisano o profesorach mądrych i o naukach, a o uczniach wtedy tylko, kiedy głośniej wystąpili na scenę. A występowali oni zawsze tylko w obronie kolegów swoich.

I tak pierwszy przykład prawdziwego koleżeństwa zostawili nam poprzednicy nasi, którzy przed 3ma wiekami jeszcze w Krakowie do szkół chodzili. Żyli oni z litości mieszczan krakowskich, chodząc w wolnych od lekcyi godzinach od domu do domu za łyżką strawy; a między tą ubogą gromadką panowała wielka zgoda i miłość braterska. Każdy nowy przybysz przechodził przez próby ostre, wreszcie przyjmował chrzest od starszych i zostawał: *bratem*. Nie dopomódz bratu w potrzebie, nie ująć się za nim — byłoby hańbą dla każdego żaka, jak ich zwyczajnie nazywano.

Było to za Zygmunta I. Polska stała na szczycie swojej wielkości, a akademia krakowska liczyła się do pierwszych w Europie; więc też młodzież ze wszystkich stron garnęła się licznie do źródła oświaty. I stało się raz, że tłumnie ze szkoły wychodzący żacy ujrzeli idącą na ulicy nierządną kobietę i obrzucili ją błotem; ujął się za nią dworzanin xa Czarnkowskiego, wszczęła się bójka, wypadło więcej sługusów, i kilku żaków padło ofiarą oburzenia swego na widok występku. Niepodobna opisać narzekań i zgrozy, jaką reszta została przyjętą; — wziąwszy pobite ciała swych braci, poszli wszyscy do króla na zamek wołać sprawiedliwości; a gdy z wymierzeniem jej jakoś się odciągano, postanowili wszyscy opuścić Kraków i szukać w innem mieście przytułku i nauki. Jakoż wszyscy starsi i młodsi wyszli z miasta, i nie było ani jednego któryby się został, choć smutno było opuszczać kraj i rodaków, a bojaźń brała puszczać się na nieznane losy w daleki świat.

To pierwszy przykład prawdziwego koleżeństwa: ogół ujął się za kilkoma, i wolał raczej iść na nędzę daleko, aniżeli zostać dłużej w mieście gdzie mu krzywdę wyrządzono. O bo nie znano wtedy zdrajców i donosicieli, bo była miłość w młodzieży, było koleżeństwo. Póżniej odkąd O. O. Jezuici objęli szkoły, już ono poczęło upadać, bo oni pierwsi nie wstydzili się pochwalać zdrajców i nagradzać ich, a nawet namawiać do zdrady. Już wtedy młodzież rozerwała się na kółka i grona, bo już nie było ufności wspólnej — bo każdy obawiał się słusznie, aby lada słówko głośno wyrzeczone nie doszło du uszu O. O. Jezuitów, którzy nieubłagani byli dla myśli wolnych i samodzielnych. Wiele i tam było zapewne pięknych przykładów koleżeństwa i poświęceń, lecz że to były czyny jednostek a nie ogółu, utonęły w niepamięci.

I drugi przykład prawdziwie koleżeńskiego życia w młodzieży całej, widzimy dopiero między uczniami akademii wileńskiej w roku 1824. Dziwnie czas ów przypomina nam obecne nasze położenie. *(C. d. n.)*

ŚREDNIOWIECZNA KANTATA ŻYDÓW W POLSCE.

(Ciąg dalszy).

2.

Panie! w żałobie
Cisi jak w grobie
O nic już ciebie
My nie prosiemy,
O nic dla siebie
Się nie ważymy
Pełznąc po ziemi jak gady;
Bo gdyś Panie przeklął nas,
Minął nam nadziei czas,
Dla nas już tylko i męki i zdrady.
Nasze skargi już póżne
I wołania już próżne.
Nie nam już z Dawidem płakać,
Z Salomonem się korzyć —
Nie nam proroków radami
Natchnionemi ożyć.

Lecz Panie! wśród okropności,
My z męczarni naszych stosu
Potęgą innego głosu
Bijem do Twej wysokości.
Przyjmij go Panie litośnie,
Usłysz korny głos wdzięczności,
Nie za nami prośba rośnie
Nie o koniec przeciwności.
My pieśń taką wznieść możemy,
Bo o sobie zapomniemy.
Bo teraześmy weseli
Jakby nie chodzący w gniewie,
Bośmy na chwilę wybrnęli
Z nieszczęść kału. W wdzięcznym śpiewie
Złączymy się — jak bywało,
Kiedy w łasce chodzim cało.

Ty widzisz Panie
Nasze radowanie,
Bo oto mamy
I kawał chleba,
I wodę z zdroju,
I dach schronienia,
I wszystko mamy
Co nam potrzeba,
Niespodziewaną,
Nieobiecaną,
Mamy wśród znoju
Chwilę spocznienia;
By wycieńczeni
Tu posileni
Ciągłe wyroków igrzysko,
Znów płyniem dalej
Naprzeciw trudom,
Na tułactwa fali
Na przykład ludom,
Ludom na urągowisko.
Wśród grobów posiewu
Dla Twego gniewu
Na widowisko.

(C. d. n.)

Z dziejów Polski.

I.

Idea chrześciańska.

A imię jego lud ludów,
A życie jego trud trudów.

Przeszłość i przyszłość, to dwa przestwory dziejowe, dwa światy stykające się w nas, to jest w teraźniejszości; stykające się, ale jeszcze nie złączone. My stoimy między nimi niby pomost przechodowy, niby ogniwo łączące to co było z tem co będzie, niby słowo zlewające w jedną całość mowę dziejów.

Ludzie, którzy nie umieją patrzeć na świat własnemi oczyma, tylko trzymają się starannie ścieżki przez wiek wydeptanej — ubóstwiając przeszłość narzekają na wiek obecny i rozpaczają nad przyszłością ludzkości, która według nich na codzienne, niskie schodzi drogi, odarte z wszelkiej wielkości i poezyi. Mówią, że księga żyjącego społeczeństwa nie brzmi tak jędrnie jak tamta, którą na granicie przeszłości na niestartą pamięć ręka poprzednich pokoleń wykuła. Toć chętnie uciekają w piękne marzeń krainy, a przeszłość wydaje im się tak wielką, a ci tylko co już legli pod ziemią jedynie miłującymi i wielkimi, że radziby z nimi na wieki pozostać. Lecz my wołamy: Nie! bo to zawsze dezercya i stchórzenie: stać nam tutaj gdzie i kiedy Bóg nas stworzył, pojąć swoje posłannictwo i żyć dla niego. A jeśli za zimny świat co nas otacza, to gorącą piersią rozgrzewać jego lodowatą, palące dłonie kłaść na jego zziębłem ciele, i krwi własnej wrzącej wlewać w jego żyły.

Wierzę i czuję, że gdy serca rozgrzejem, gdy wywołamy uczucia święte w całym narodzie — to nieba nam zeszlą natchnienie mistrza, dzielność rycerza i miłość męczennika; a teraźniejszość wyda nam się wielką, sposobną do doprowadzenia idei świętych do zwycięstwa. I wzniesiem dzieło własnemi rękoma, dzieło, które gdy stanie, zadziwiać ędzie światy i ku niebu wzniesie się wysoko, i na ziemie brozszerzać będzie się miłośnie. A gdy będą się pytać o wielkiego męża, który zdołał wznieść gmach ten, to odpowiemy słowami wieszcza: że „imię jego lud ludów, a życie jego trud trudów...."

Wtedy bowiem dzieje świata jak lutnię nastrojoną pochwyci geniusz narodów i grać będzie na wszystkich strunach prawd Bożych i ludzkich, podczas gdy dawniej lutnia ta spoczywała cicha, i tylko gdy przyszedł wielki, wydobywał z niej tony namiętne, drgające wszystkiemi siłami pojedyńczego geniuszu, a potem była znów cisza, dopóki olbrzym nie przyszedł — i tylko echa ponure odpowiadały po pustych ruinach sławę śmiertelnika.

Dziś ustępują indywidua oderwane, choćby genialne i bohaterskie przed władzą idei, przed całością narodów, która jak mozaika składa się wprawdzie z pojedyńczych kamyczków, często różnych co do barw i kształtów, ale przecież tak szczelnie spojonych, że żaden nie występuje, żaden nie odstaje. Ustępuje ambicya pojedyńcza, duma osobista przed entuzyazmem mass, przeduczuciem czystego patryotyzmu moralnie najwyższego, bo przez nie każda jednostka zapominając o sobie, wżywa się w całość.

Zaczyna się widocznie epoka rządów nieśmiertelnych idei, które długo bujały po nad światem i urągały wielkości Cezarów, Alexandrów i Napoleonów — sile Xerxesów, Tamerlanów, Piotrów i Fryderyka W. Dziś już wcieliły się w narody, narody mają ich zaród w sobie, a ich blask zaćmi nie długo blade światło potęgi ludzkiej.

Działaczami więc idei będzie ludzkość cała, narody, ludy; a ktoby chciał wiedzieć zkąd ludzkość i ludy do dziedzictwa idei przychodzą i które najwięcej, niechaj przejdzie dzieje którejkolwiek idei.

Na początku było słowo, słowo każdej idei, bo każda idea poczęła się z początku świata, z pierwotnem społeczeństwem. Błąkało się to słowo pierwotne długo po świecie; nie władało nikim, ale przechowywało się przecież przez długie wieki — a chociażby pamięć tego pierwotnego słowa była się zatarła, byłoby się ono przechowało w samej naturze ludzkiej, dla której było stworzone.

Przez łaskę Bożą, słowo to w danym czasie wcielało się w jakieś dziewicze, nieskalane społeczeństwo — ztamtąd wychodziło na świat powtórnie. Męczeństwem i prześladowaniem przyjęta idea, na ojczystej ziemi rozkorzeniała i rozkrzewiała się coraz głębiej, coraz szerzej, a wszędzie ją niszczono, gdzie ją tylko dostrzeżono. Przez wieki żyła ona na świecie tylko krwią, męczeństwem i trudem. W końcu społeczeństwo, naród, lud, który przyjął tę ideę — tak się nią przejął, tak jego losy z nią się zbratały, że już nie odróżnić idei od narodu, a narodu od idei. Razem walczyły, razem zwalczone, pognębiane, szły w okowy, na krzyż lub szubienicę — potem znów razem się odradzały na nowe męczeństwo. Idei więc mianem był lud ludów, który się za nią w okup dawał — a życiem idei i ludu tego był trud trudów.

W miarę z prześladowaniem idea zwyciężała, rozlewała się na ludzkość całą, rozrywała tamy jej stawiane. Dawny porządek świata, wszystko co z gruzów powstawało, powstawało pod znamieniem nowej idei. Gdy idea wschodziła na świat, to z początku walczyła materyalnie, gdyż innej walki świat stary nie rozumiał — ale im więcej się rozszerzała, tem więcej jej istota duchowa występowała. Siły fizyczne jej przeciwstawiane niszczały — władza jej moralna opanowywała wszystko i — zwyciężała wszystko.

Jeszcze pęta były na rękach, a już z pod cierni męczeństwa wyrastał wawrzyn duchowego zwycięstwa i oplatał jej skronie, bo nareszcie przychodzi dzień, w którym jedno wstrząśnienie zrzuca jej pęta i zdejmuje ze skroni koronę cierniową, i tylko wawrzyn pozostaje.

Widzimy to najlepiej na idei chrześciańskiej.

II.

Z dziejów Polski.

Historya, ten wielki obraz ludzkiego istnienia, gry idei i przekształcenia świata jest niechybnie najważniejszem polem badania dla umysłu człowieka. Teorye, zasady czy to przez teologją, czy przez filozofiją podawane, występują tutaj w pelni życia, w rozwoju praktyki. Zapatrujący się na dzieje ze stanowiska chrześcianina, jak spotyka w bada-

niu przyrody cudowne dzieła Opatrzności; w śt. Ewangelii naukę Bożą ludziom udzieloną, tak w dziejach widzi rozwój idei Bożych w rękach ludzkich, mierzy odstępstwo lub przybliżenie się ludzkości do Bóstwa.

Takimi wydadzą mu się dzieje od początku świata. Z Bossuetem będzie szukał po wszystkich krańcach kuli ziemskiej i czasu, rozstrzelonej myśli Bożej. Odległa przeszłość, dzieje starożytności, uroczej Hellady, bohaterskiej Romy wydadzą mu się doskonałemi, skończonemi dziełami sztuki, do których nic dodać nic ująć nie potrzeba, tylko się zdumiewać nad pięknością ich kształtów. Nie chodzi mu o nieomylność, autentyczność pojedyńczych faktów, widzi w nich tylko wcielenie, a raczej symbolizm wielkich myśli.

Historya bieżąca, pod tchnieniem narodów powstałych, nowego objawienia, oparta często na pierwowzorach starożytności, wydaje się naszemu oku jako olbrzymi gmach, do którego budowy my jeszcze znosim cegły, którego wyższych pięter my murarzami. Tu chodzi nam o zrozumienie prawdziwe przeszłości, bo już nie w roli obojętnego badacza, ale biorącego udział w całości dzieła występujemy; bo czas, w którym żyjemy i działamy, wsparty jest na przeszłości i ściśle z nią złączony. Chwila ciszy, pozornego zamarcia, zewnętrznego przyduszenia, nie dowodzi obojętności i nieważności pory lub braku życia. Choć naród który nie ma życia politycznego, bytu własnego, ważniejsze pono jest to skryte życie narodowe; wśród prześladowania w niewoli rozwijające się. Gdy jest byt i życie polityczne, walczy się o sławę, o rozszerzenie władzy, imienia narodowego, a walka ta świetna, lecz nie wymagająca wytężenia, z szczęścia narodu wypływająca. Gdy bytu nie ma, walczy się ostatkami sił o odzyskanie utraty, o utrzymanie ducha, a walka ta już nie świetna, ale święta, aureolą męczeństwa opromieniona. Walka taka cicha, wewnętrzna, jak każde męczeństwo w Chrystusie ma zwycięstwo i żywot. To też narody takie, jeśli nie upadną na duchu, nie stracą swego szlachetnego celu z przed oczów — wychodzą z niewoli i rozwijają się w niej na wyższe i szlachetniejsze. Staszic powiedział: paść może i naród wielki, zniszczeć nie może tylko nikczemny. Prawdę tę potwierdza historya. Narody w pełni potęgi, wsród tryumfów i zwycięstw nikczemniejąc, moralnie niszczały, jak Rzym pan świata. Narody, które dotąd nie znały swej istoty, poczuły ją w jękach prześladowania, wśród konających na palach, przy wytępianiu imienia narodowego i wiary Chrystusa, rzec można zrodziły się z niewoli, jak nowa Grecya i Słowiańszczyzna turecka. Zwróćmy się teraz do dziejów ojców naszych, cóż i one nam powiedzą? Czy nadzieją napełnią serca, czy w smutek pogrążą, że długo jeszcze poprzedników zbrodnie odpokutowywać mamy?...

Tak źle nie jest, nie zbrodniczy, nie występny nawet ten stary szlachecki naród polski, którego typy coraz bardziej nikną w mgle przeszłości; bo my już synowie innej epoki i różni od nich w naszych dodatnich i ujemnych przymiotach. Dziś powstajemy przeciw tym czasom świetności, wywołujemy występki przodków, żądamy od nich tego, czem być niemogli, a nie zważamy w jakiej oni epoce żyli, nie zważamy czem my jesteśmy. Nie widzimy, że oni w upadku i błędach byli wielkimi; podczas gdy my malejemy i nędzniejemy. Niech nikt z obcych nie targa się świętokradzką mową na czystość naszych dziejów, bo mu zaraz stawię przed oczy szkaradę zbrodni spotykanych na każdej karcie historyi jego ojczyzny, obronię nieskalaną Polskę. Błędy były, były nawet wielkie i przez nie upadek i kajdany nasze, ale błędy wynikające z ducha czasu, z zaślepienia, często nawet z dobroduszności, lecz to nie były występki i zbrodnie.

Polska to był kociół wojujący chrystianizmu. Polska miała powołanie dziejowe, wytknięte palcem Bożym, powołanie co dla swych samolubnych celów chciały uzurpować sąsiady. Polska żyła dla niego, a przy skończonej ofierze padła. Mówmy jaśniej: Polska, ten poczt naprzód wysunięty oświaty europejskiej, stojąca na zetknięciu świata azyatyckiego, zaborczego, z światem ucywilizowanym zachodu, ma od wieków powierzoną sobie straż tejże cywilizacyi, a zarazem jej misyonarstwo. Pierwsza zatem epoka życia, epoka obrony fizycznej przeciw dziczom Turków i Mongołów już dokonana. Patrzmyż jak się wywiązała z tego posłannictwa Polska, czy była ślepem narzędziem idei, jak to w dziejach bywa, czy dogadzając swym własnym widokom spełniała go bezmyślnie.

Polska spełniała swoje posłannictwo z pełnem poświęceniem. W czasach, gdy każdy chwytał interes własny, gdy przemocą lub zaborem wzbogacał się, gdy królowie bardzo katoliccy sprowadzali na inne państwa katolickie Turków (Franciszek I. na Karola V. Solimana), lub dostojnicy kościoła stojący u steru rządu popierali protestantów (Richelieu w 30letniej wojnie), Polska jedna żyła dla idei, jakby rycerz zabłąkany z średnich wieków w czasy zimnej polityki i materyalizmu. Ona wszystko poświęcała dla idei wyzwolenia Chrześciaństwa od ciężarnych gromami chmur wyznawców Mahomeda — ona nie mogła ukonstytuować się wewnątrz, zawrzeć na zewnątrz korzystne przymierza z Francyą i zgodną z nią Turcyą dla równowagi przeciw Austryi i Rosyi — dla tejże samej myśli; ona nie znała milszej nagrody jak nazwę antimurales Christianitatis. A po spełnionej ofierze Polska stara, rycerska legła w grobie, bo jej misya skończona: to też panowanie Sobieskiego wydałoby się z nieszczęsnych swych skutków jakby napełnione samemi klęskami i nieszczęściami, a nie sławą i zwycięstwy. — Druga strona żywota dawnej Polski zarówno dowodziła jej Bożego posłannictwa: pierwsza była obroną, druga misyonarstwem. Ona nie szła z słowami wytępienia, nienawiści na ustach, z dumą i zarozumieniem tam, gdzie ją Boża powinność, gdzie ją pobratymstwo pochodzenia powoływało, ale z wyrazem anielstwa wyciągała dłoń bratnią. Ten naród polski waleczny nad waleczne, nigdy nie dobył oręża dla rozszerzenia swych granic, nigdy intrygą, podstępem nie podbijał, ale podbijał tem co najtrwalsze: miłością i wolnością. Królowa godna swej świętej korony uczyniła z siebie ofiarę dla Boga, dla narodu; naród z dzikim sąsiadem dzielił się wolnością, i oto w jednym dziesiątku lat dokazał tego miłością, czego oręże niemieckie przez dwa wieki nie dokazały.

W Polsce była wolność jaka nigdzie nie była, i którą dla swej nieczasowości za anarchię uważano i rzeczywiście w końcu w anarchią przeszła. Lecz bez tej wolności nie byłoby tak świetnego żywota narodowego. W niewoli naród nie-

żyje i nie działa — działa rząd i powstaje polityka, która używa siły narodu, jako siły bezdusznej, fizycznej, — w rządzie tylko sprawiedliwym, na swobodach opartym, naród żyje pełną piersią i okazuje się w właściwej barwie. Anglik wśród swej wolności okazuje się zawsze materyalistą i handlarzem—Polak idealistą i rycerzem. Republikański rząd Polski w owych czasach, kiedy przemoc służyła za prawo międzynarodowe, i w późniejszych, kiedy nastało prawo równowagi fizycznej; w czasach kiedy siły wszystkie koncentrowały się w monarchiźmie, aby się oprzeć przemocy — w Polsce, co z powołania jedną prawicą broniła się wieczyście na zewnątrz, a drugą zaledwie mogła wzmacniać budowę wewnętrzną organizacyi kraju; w Polsce, co z rozwartemi granicami Europie stała strażnicą przeciwko hordom Azyi — w Polsce Rzeczpospolita mogła istnieć tylko wysileniem patryotyzmu, bohaterstwem obywateli.

Wiara więc i sława zabłysnęła nad Polską. Wiara szczególniej była motorem życia, ona znalazła w Polsce tarczę od odstępstw, o skałę wiernego narodu polskiego odbijała się ze wschodu schyzma, z zachodu reformacya. Już nie wspomnę o tej głębokiej religijności narodu, na której starzy Polacy wszystko opierali, z której wszystkie cnoty najmoralniejszego narodu wypływały; ale ta sama wiara odwoływała naszych dziadów od pługa do miecza, bo naród polski z natury swojej niebył wojennym, nigdy swoich widoków mieczem nie popierał, a co nad życie u siebie kochał tj. wolność, to szanował i u drugich. Rolniczy z natury Polak wćwiczony w rzemiosło wojenne obroną własnego kraju, nabrał żądzy sławy; to też rzadko z konia bojowego zsiadał i miecz od boku odpasywał. Sława u Polaka szła za popędem wiary, szukał on jej daleko, ale nie aby łupów nabrać. Nie rachował czy mu wyprawa korzyść przyniesie, lecz gdzie krzyż Chrystusa był uciśniony, gdzie się walił kościół Boży, zkąd jęki prześladowanych, narzekania uciemiężonych się wznosiły, gdzie wolność, wiara podeptana, włos siwy nieuszanowany, wstyd dziewiczy zhańbiony był, szedł, aby wspomódz słuszną sprawę i obronić cnotę. Sława ta stała się życiem narodu i choć krew przelana za obce sprawy nie przynosiła korzyści dla państwa, podnosiła i potęgowała moralnie naród. To też nic zgubniejszego nie było dla Polski nad gnuśność: wolność co służyła sławie, przeszła z jej upadkiem w samowolę, a rycerskość w burdactwo. W owych nieszczęsnych czasach bachusowskich, gdy zakonnicy Lojoli z umysłu naród zaciemniali, odebrali mu to zdrowe pojęcie obywatelstwa, jakiego mamy niezliczone pomniki z czasów zygmuntowskich; Gdy Sassy go rozpoili, gdy powstało dworactwo, a panowie naczelnicy partyi bezmyślnej, wyrodzonej szlachty umiejąc przemawiać do jej słabostek i małości bezwstydnie służyli obcym za narzędzie w takim stanie rzeczy przy bezwładnym rządzie anarchia opanowała nieszczęsną krainę, a państwa sąsiednie od dawna, bo już od Jana Kazimierza czychające na rozbiór Polski, korzystały z chorób narodowych.

Jak lampa nim zagaśnie, jeszcze raz jasnym zabłyśnie płomieniem; jak słońce nim zajdzie, jeszcze raz iskrzącą swą źrenicą potoczy po zmierzchającym horyzoncie—tak Polska nim oddała ostatni oddech, nim zasnęła w ów letarg polityczny, jeszcze raz przywołała dawne siły swoje, jeszcze raz usiłowała powstać na nogi. Zabłysnął patryotyzm, poznano w ostatniej chwili złe, które trawiło od dawna ciało chorej, a konającym głosem wymówione słowo konstytucyi 3. maja, było wyznaniem grzechu i poprawy. Powstali prawi synowie w Barze, powstał Kościuszko, jeszcze raz wzbudziło się poświęcenie i miłość kraju, aby zamknąć się w piersi narodu jak ziarno w roli. (D. c. n.)

OSTATNI Z RODZINY.

(Ciąg dalszy).

Nagle się zatrzymał, uderzony widokiem, który się przed nim roztoczył. Około dużego ogniska, co gorzał we środku, rozłożyło się kilkunastu szlachty w rozmaitych strojach i munderunkach. Jedni czyścili broń, drudzy gwarzyli i popijali, inni zatrudnieni byli końmi, co się paśli opodal na pobliskiej łące. A wszyscy byli mowni i dobrego geniuszu.

Była to garstka barskich konfederatów. Rej wodził jakiś sędziwy szlachcic z miną tęgą i poważnem znalezieniem się, bo jak który z młodszych braci wpadł na drugiego z impetem i krzykiem, co się także zdarzało przy żywej rozmowie, stary szlachcic godził ich natychmiast spokojnem słowem.

A i w tej chwili podobna odbyła się scena. Jakiś towarzysz słuszny i barczysty, opowiadał świeżo przybyłemu frycowi o walecznych czynach konfederatów, a za każdem słowem najlekszego niedowierzania fukał się na niego okropnie, tak że aż do pałaszów się porwali.

Bogiem się klnę! — huczał opowiadający — że jak słówko jeszcze piśniesz i zupełnej nie dasz wiary, to ci uszy poobcinam.

— Hola! mój mości — odwetował się młody, któremu po tych słowach krew buchnęła do głowy — takiego przekonania nie ścierpię.

— Panie Antoni! — zawołał godząc sprawę ów podeszły konfederat.

Młody przystąpił ku niemu.

— Siadaj no waść tu koło mnie i ostudź w sobie cokolwiek krew gorącą. A ty mości cześniku — dodał zwracając się ku olbrzymiemu szlachcicowi — nie psuj sobie fantazyi dalszem opowiadaniem, które ja dokończę. A gdy tenże go usłuchał a młody smukły towarzysz usiadł koło niego, stary tak mówił:

— O ile dosłyszeć mogłem, opowiadał ci cześnik o pierwszem ziarnie konfederacyi i pobycie pana starosty wareckiego i pana Michała Krasińskiego podkomorzego różańskiego we Lwowie, w styczniu tego roku, w celu przygotowania umysłów do zawiązać się mającej konfederacyi. Przyjęto ich tam bardzo dobrze i niemało ofiar złożono, ale długo bawić nie mogli, bo starosta tamtejszy Korytowski, gorliwy stronnik Stanisława Augusta, podejrzywając ich kazał śledzić pilnie ich kroki i uwiadomił o wszystkiem króla.

— A zdrajca! — krzyknął młody słuchacz, a stary opowiadacz ciągnął dalej:

Widząc że są strzeżeni, opuścili zaraz Lwów i udali się do Baru, małej mieściny w województwie podolskiem, odległej o mil 12 od Kamieńca podolskiego i o tyleż od granic tureckich. Tu p. podkomorzy różański Krasiński, p. starosta, warecki Puławski, jego trzej synowie, synowiec i dwu z obywateli sąsiedzkich akt konfederacyi podpisali, do której miała przystąpić większość szlachty. Jeneralnym marszałkiem obrany został Krasiński, marszałkiem wojska związkowego Józef Puławski, a sekretarzem Hyacynt Kochanowski.

— A wojsko moskiewskie nie przeszkadzało? — zapytał młody.

— Wojsko rosyjskie było skupione pod Warszawą, strzegąc działań sejmu na Podolu; włóczyły się tylko porozrzucane drobne posterunki. Zresztą pan starosta liczył na pomoc Turków i chana.

— Cóż dalej? — pytał rozciekawiony słuchacz, gdy stary trochę za długo zapalał świeżo nałożonę lulkę.

— Ha cóż! dobrze się nam z początku wiedło. Za przykładem w Barze poszła prawie wszystka dobrze myśląca szlachta z okolicy i po wykonanej przysiędze, przybywała nieustannie dobrze uzbrojona, tak że w ciągu niespełna trzech tygodni, już do 8000 ludzi liczyliśmy.

— Moskal myślał — mówił stary szlachcic, zapalając się w swem opowiadaniu — że nas rozprószy jak komarów. Ściągnął swe oddziały i pociągnął w około Baru zbrojną linię, aby nam przeciąć wszelkie związki z sąsiedniemi województwami; ale zapomniał, że na czele stał dzielny i mężny starosta warecki, a podobni jemu co do nieustraszonego męstwa i zapału byli niemal wszyscy. Cofnęli się Moskale i założyli obóz, ale tylko kilka nocy w nim przespali, bośmy niespodzianie na nich uderzyli i rozpędzili.

— Od tego czasu coraz świetniejsze powodzenie wieńczyło nasz oręż i konfederacya uorganizowała się silnie. Nieprzystąpienie do konfederacyi uchodziło za zbrodnię, to też prawie wszyscy do niej należeli, i tylko dworacy, pochlebcy i wielcy panowie, posiadające dobra w okolicach przez konfederatów zajętych, nazywają nas rabusiami i buntownikami.

— A cóż mówi na to wszystko król jegomość?

— Król jegomość — odrzekł niechętnie opowiadający, ruszając ramionami i wypuszczając gęsty kłąb dymu — król jegomość niedołężny i samolub, i dał się zupełnie opanować carskiemu posłowi. Krwiożerczy kniaź Repnin burmistrzuje w pięknej naszej Warszawie, a przytem podły i chytry, jak każdy okrutnik.

— Ale senat, rząd kraju? — pytał młody słuchacz z oburzeniem.

— Senat — pożal się Boże! — mało więcej wart od króla i kniazia. Złożony z samych stronników królewskich, zatrwożony powodzeniem naszych, wysłał do konfederacyi odezwę w wyrazach oddychających pozornie spokojem i zgodą. Wzywano w niej konfederatów, aby wyprawili kilku z naczelników swoich do Warszawy i aby ci traktowali o zgodę i powszechne pojednanie. Szlachetny nasz Puławski nie przeczuwał podstępu i okazał skłonność do zgody z tem zaufaniem w uczciwość drugich, które jest cechą dusz prawych i cnotliwych. Zezwoliwszy na żądane zawieszenie broni, cofnął się w swoje pierwotne stanowiska i wyprawiwszy posłów do senatu, oczekiwał spokojnie skutków układów.

— Ja bym był nie wierzył! — zawołał młody szlachcic gorąco — tyle razy zawiedli nas już słodkie słówka, żeśmy się nie powinni dać łapać na nie łatwowiernie.

— Lecz pan starosta zawierzył, i gorzko to potem żałował. Moskale szelmy, wyparci już z wielu stanowisk, mieli w czasie zawieszenia broni zachować się spokojnie i nie przedsiębrać kroków zaczepnych, tymczasem zacny kniaź wysłał przeciw nam kilka tysięcy ludzi. Pamiętam jak dziś, siedzimy w obozie spokojni, bo ubezpieczeni zawieszeniem broni, aż tu nagle uderza zdradliwy Moskal na nasze stanowiska, ze wszystkich stron naraz. Ale nie udała mu się sztuka.!

— Nie udała?

— Zupełnie nie, ale cóż! Nie mogąc nas rozbić ani rozpędzić, rozprasza się i niszczy wszystko ogniem i mieczem, przebiega całe województwo i obracając w perzynę miasta, miasteczka i wsie, morduje wszystko, co spieszną ucieczką wściekłości jego ujść nie zdołało, i tylko stosy zwalisk i trupów zostały jako smutne ślady jego przechodu.

— Więc zwyciężyli? — zawołał młody konfederat, chwytając za rękojeść szabli.

— Baj bardzo! — odpowiedział mówiący, wytrzęsając fajkę. — Naciśnieni musieliśmy opuścić przednie stanowiska ale stawiliśmy opór, jak na mężów przystoi, i mimo że nieprzyjaciel był cztery razy liczniejszy aniżeli garstka naszych, nie daliśmy się mospanie obsaczyć i chociaż musieliśmy ustąpić placu, cofaliśmy się w szyku porządnym.

— A więc dobrze się trzymali nasi? — zapytał młody żołnierz z zapałem.

— Bah! mospanie, jak lwy. Tu okazała się najlepiej różnica między walecznością obywatela, który przelewa krew swoją w obronie niepodległości ojczyzny, a odwagą fizyczną żołnierzy, co się biją za sprawę sobie obcą zupełnie.

Gdy tych słów domawiał, nad brzegiem lasu ukazała się postać znanego nam kozaka. Skoro zoczył ognisko obozujących, przybliżył się do niego i skłoniwszy się do kolan najsędziwszemu z towarzystwa, pozdrowił po chrześcijańsku.

— A od kogo? zapytał cześnik krótko, myśląc że poselstwo do niego.

— Od pana Franciszka Puławskiego, syna pana starosty wareckiego — odpowiedział kozak.

— Do mnie? — zapytał cześnik zdziwiony.

— Nie brat'ku! — odpowiedział kozak — do pana wojewody Stempkowskiego, co mieszka podobnoś niedaleko!

— Wracajże bratku z listem napowrót — odezwał się jeden z towarzystwa — pan wojewoda przed dwoma dniami wyjechał do Warszawy, dokąd go powołał król jegomość, chcąc mu podobno ofiarować regimentarstwo przeciwko hajdamakom, bo coś źle pono słychać na Ukrainie. Żeliźniak rabuś miał przejść Dniepr i buntuje chłopstwo, a szlachta ucieka coprędzej, bo boi się rzezi.

Kozak smutnie pokiwał głową i zafrasowany opowiedział, że nie ma na czem wracać.

— Szkapa się znajdzie — odrzekł tenże sam mowca. —

Dla przyjaźni pana Franciszka dam ci jedną z moich. A pokłoń mu się od Bierzyńskiego i powiedz, że się tu zbieramy na kresach i nie długo skupimy około Baru.

Kozak chwilkę odpoczął, a łyknąwszy gorzałki i wypaliwszy lulkę, ruszył w noc ciemną, by przywieść jak najprędzej smutną odpowiedź panu. A gdy się zbliżył do miejsca, gdzie nieżywy leżał towarzysz, zsiadł z konia, aby go pożegnać.

Dzień właśnie świtać począł. Gromada kruków zerwała się i poczęła krążyć w około, niechętna z przerwania uczty. Kozak smutnem okiem potoczył po koniu i począł zdejmywać kulbakę. Nagle zabłysło coś w brzasku świtającego słońca.

Kozak schylił się żdziwiony. W kulbakę utkwiony był nóż szeroki, pięknej tureckiej roboty, a na ostrzu zatknięte było jakieś pismo.

Kozak się przeżegnał, odpędzając szatańskie widzenie, ale gdy nie pomogły chrześcijańskie odżegnania, nóż i pismo schował i zadumany pognał zielonym stepem.

C. d. n.

Rozmaitości.

Dary na „Fundusz dla ubogiej młodzieży.“ — O towarzystwie bratniej pomocy w Krakowie. — Gramatyka polska pani Goczałkowskiej. — Spółki naukowe — Podziękowanie pannie Bogdanowiczówne].

× Dowodem, jak ochoczo kraj nasz wspiera wszystkie cele, mające na oku dobro ogółu, są datki składane na fundusz, przeznaczony na wsparcie ubogiej młodzieży szkolnej. Najbardziej zaś cieszy nas to, że nareszcie i młodzież się ocknęła po długim letargu, że poczuła się do obowiązku przyłożenia także cegiełki do dzieła, dla uboższych ich braci przedsięwziętego. Ocknęła się, lecz nie zbudziła jeszcze: w spisie przyczyniających się jest zaledwie kilka imion młodych, zaledwie kilka zakładów naukowych. Pierwszy piękny przykład w tej mierze dali uczniowie gimnazyum Władysławsko Nowodworskiego w Krakowie — później nadesłali składki uczniowie z gimnazyum tarnowskiego; lecz dotychczas za tym pięknym przykładem żadne inne gimnazyum nie poszło. Upominamy się o to, upominamy mianowicie u młodzieży lwowskiej, która powinna być wzorem dla innej, lecz dotychczas do tej powinności jeszcze się nie poczuła. Piękny również przykład w tej mierze dali posłowie nasi sejmowi. Niektórzy z nich, (dotychczas wymienić możemy p. Alexandra hr. Dzieduszyckiego — którzy myśl tę rzucił i pierwszy w życie wprowadził — i p. Jana Czajkowskiego, lecz już więcej poszło za tym przykładem) ofiarowali na ten fundusz przypadające na nich dyety. Gdyby wszyscy panowie posłowie, który to uczynić mogą, poszli za ich przykładem, zebrałaby się suma znaczna. — Nakoniec podnieść jeszcze musimy dwa ostatnie datki, mianowicie panny Olgi . . . z Lubyczy i p. Kazimierza hr. Wodzickiego z Olejowa. Panna Olga wyhaftowała taśmę do dzwonka i puściwszy ją na losy, zebrała 48 zlr. 50 ctw. — dowód oczywisty, że przy poczciwych chęciach małemi siłami dużo zrobić można, nie mniej i tego dowód, że gdzie chodzi o przeprowadzenie jakiej myśli zbawiennej, o czynne i praktyczne poparcie jej, panie nasze są nam zawsze wzorem i przykładem. Pan hr. Wodzicki zaś przesyłając obligacyę indemnizacyjną na 100 zlr., dołączył do tego kilka słów tak pięknych i serdecznych, że mamy sobie za obowiązek powtórzyć je: „Spieszę z małym datkiem na „Fundusz dla ubogiej uczącej się młodzieży“—pisze dawca. „Myśl ta wielkiej doniosłości poruszyć musi każde polskie serce. Oby Bóg „w swem miłosierdziu natchnął młodzież naszą i wlał w nią przekonanie, „że tylko wytrwała praca, zamiłowanie w nauce, specyalne wykształ„cenie, przy prawości charakteru, czystości obyczajów a niezachwianej „wierze, tworzą młodzież pożyteczną dla kraju, która będzie podporą „tej przyszłości, co ją w duszy piastujemy!“

× Odbieramy z Krakowa list następujący: „Po wydrukowaniu w Czytelni statutów towarzystwa naszego wzajemnej pomocy, których potwierdzenia niecierpliwie oczekujemy, nie od rzeczy będzie bliżej trochę wyjaśnić doniosłość takiego towarzystwa. Organizuje ono młodzież i oprócz materyalnej pomocy, do jakiej podobne towarzystwa w Wiedniu zmalały, jest ono także wielkiego moralnego wpływu chociażby tylko dla tego, że jak artykuł pierwszy statutu żąda, „prawość“ jest wyraźnym warunkiem do otrzymania pomocy. Komitet zatem towarzystwa chcąc się o prawości przekonać, curiculum vitae praesentis kolegów przechodzić musi, a ztąd obrachowywać curiculum vitae futurae; w ten sposób staje się rzymskim censorem albo greckim areopagiem, odnośnie do wszechnicy. Przez współudział starszych, nie akademików, jako honorowych członków z prawem głosu na ogólnem ustawodawczem zgromadzeniu, staje się zarazem towarzystwo to krajowem, a być takiem wszelkie ma prawo; bo gdzie chodzi o to, aby przyszłym obywatelom ułatwić środki do kształcenia się na takowych, tam chodzi o dobro kraju. Towarzystwo takie jest też jedynem, przez które młodzi uczący się mają wespół ze starszymi udział w sprawie krajowej; a błogosławiona jest taka wczesna przyszłej zgody rękojmia i przyszłego życia praktyka“.

„Nie możemy też jak tylko serdecznie braciom we Lwowie uczącym się życzyć, aby się jak najprędzej o takie towarzystwo u siebie postarali i nie dysputując długo, z lokalnemi tylko zmianami ryczałtem statut krakowski przyjęli. Wszelkie objaśnienia do statutu, oraz obszerną a żmudnej pracy wymagającą administracyę wewnętrzną, najchętniej na żądanie prześlemy.“

Fundusze pod nazwą: „Na dom dla ubogiej młodzieży“ zbierające się, wcale założeniu towarzystwa takiego nie przeszkadzają. Co się zaś tych funduszów tyczy, to nie zgadzam się na żaden z rozwijanych dotąd pomysłów, i proponuję: *aby komitet mający się w tym celu zebrać, wziął od razu pod rozbiór i do zastosowania we Lwowie statutu „Poznańskiego Towarzystwa naukowej pomocy“.* Już to pewna, że ś. p Marcinkowski najlepiej z całego życia doświadczeń wiedział, jak takie sprawy przedsiębrać. Statuta jego podadzą nadto komitetowi środki do stałego zwiększania się sum zakładowych, a przez to do zabezpieczenia życia i wpływu instytucyi“. *) *S.*

× Wyszła już z druku *Gramatyka polska*, ułożona przez Julję Goczałkowską, znaną dobrze z talentu i pracy autorkę naszą. Praca to użyteczna bardzo, bo słusznie mówi sz. autorka w przedmowie: „Potrzeba odpowiednej gramatyki polskiej z każdym dniem więcej czuć „się daje; wołanie o nią ogólne tak za strony uczniów jak i nauczycie„li, najlepszym jest dowodem tego niedostatku.“ Jaki zaś cel wydaniem tej gramatyki zakreśla sobie autorka, tłumaczą dalsze jej słowa: „ . . . pragnę niniejszem wydaniem pospieszyć na pomoc szkołom niż„szym, podając im w treści tej gramatyki krótko zebranej klucz pro„sty do języka ojczystego z wszystkiemi możebnemi ułatwieniami i ja„snością, wystrzegając się w niej pilnie od wszelkich nowości i dowol„ności, które to tworząc zwykle same w sobie oddzieloną niejako nau„kę, odprowadzają przez to od rzeczy i utrudniają raczej pojęcie za„sad mowy, zamiast je ułatwiać.“ Dalej powiada słusznie autorka, że „podstawą logiczną każdego innego wykształcenia, a szczególniej też „kształcenia się w obcych językach, powinno być przedewszystkiem „poznanie i zbadanie dokładne ojczystej mowy,“ popiera zaś swe zdanie pięknemi słowami Karola Libelta: „Ci co obojętni są na język ojczysty, „są jak poganie obojętni na światło ewanieliczne . . . Idź do innych „narodów, czy co podobnego usłyszysz, aby się krajowcy obcym języ„kiem pomiędzy sobą porozumiewali, z wyraźnem lekceważeniem wła„snego?.... I owszem, największą dumą narodową Francuza, Anglika, „Niemca, jest jego język, którym się poszczyca jako najwyższym utwo„rem narodowego ducha.“

Tyle o pracy pani Goczałkowskiej. Nie tu miejsce oceniać ją krytycznie, uczynią to inne odpowiednie pisma; zapewnić jednak mo-

---

*) Zgadzamy się zupełnie ze zdaniem szanownego korespondenta i pisaliśmy już dawniej do Poznania z prośbą o przysłanie nam Statutów tegoż Towarzystwa, lecz je dotychczas jeszcze nie otrzymaliśmy. *P. R.*

żemy, że słyszeliśmy o niej zdanie przychylne od ludzi fachowych, tem śmielej więc polecamy ją czytelnikom naszym. Skład jej główny w księgarni p. Kajetana Jabłońskiego — cena bardzo umiarkowana bo tylko 80 centów.

× Każdy z nas nazywa siebie dumnym członkiem wielkiego narodu: Polakiem. Ale niestety! wieluż jest takich, którzy nie pojmując obowiązków swoich na dziś, nie pełnią ich jak powinni. Jedni chwalą się wszędzie i głośno, że są Polakami, bo klną wrogów — Polskę noszą na ustach, na głowie i na grzbiecie — a w sercu próżność. Błahe to cechy patryotyzmu, kiedy i najemnicy podli łatwo je sobie przyswajają. Drudzy znowu zapewniają każdego na ucho, że życie dać gotowi za sprawę narodu, ale narażać się nie warto; są to po prostu tchórze. — A pierwszych i drugich wielka liczba. Jakże nam zatem daleko do tego, abyśmy się słusznie nazwać mogli Polakami.

Oglądnijmy się koło siebie — a w małem kółku naszych znajomych ileż znajdziemy sprzecznych zdań i wstecznych myśli! Jedności nam trzeba! i tego przekonania, że sama cicha miłość ojczyzny nie wystarczy, że potrzeba okazać ją czynnie, a okażemy ją nauką! Ludzie starsi, którzy ukochali naukę dla niej samej i w niej i dla niej tylko żyją niedobrze czynią, bo zapomnieli o obowiązkach względem narodu swego. To też słusznie powstają na nich ludzie prawi w pismach publicznych, zarzucając im grzech odstępstwa, że ukochali bardziej naukę niż ojczyznę. Czytając to, nie stosujmy tego fałszywie i nie porzucajmy nauk, by ubrawszy się w czamarki trącać oficerów łokciami po chodnikach — ale raczej z największym pośpiechem gromadźmy wiadomości, aby najprędzej stanąć na tej wysokości ukształcenia co starsi, a zrównawszy im, wystąpmy wtedy z młodzieńczą siłą i my im przodujmy, kiedy sami zaślepili się tak, iż im nauka Bogiem i Ojczyzną! Dziś kółko dla nas działania małe — żywiąc zatem świętą miłość ojczyzny w sercach, pracujmy dla niej na drodze naukowej szczerze i z całym zapałem. Im więcej nagromadzimy nauki, tem większym czynem przysłużymy się narodowi w przyszłości.

Panuje pomiędzy młodzieżą od dawna zakorzeniony zwyczaj uczenia się przedmiotów naraz przed samemi examinami. Całe półrocze przejdzie, a rzadko kto zajrzy do notatek — bo jakże tu w preferansa nie grać i w bilard się nie spróbować? Jeśli kto na dwa miesiące przed examinami weźmie się do pracy, to już do bardzo pilnych należy. A tu z takiej nagłej nauki, która ledwo do examinów wystarcza, nie ma i czasu uporządkować coś należycie w głowie, i bardzo mało na przyszłość zostaje; bo przedmioty ściśle naukowe tylko ciągłem powtarzaniem i ciągłem przerabianiem przyswoić sobie można. Zwyczaj więc uczenia się na końcu, jest najgorszy.

Mała liczba jest tak szczęśliwie od natury wyposażonych, że nie wielką pracą wszystkiego się nauczyć potrafią; nierównie zaś więcej takich, którzy często już samego wykładu zrozumieć nie mogą i na końcu z niezliczonemi trudnościami łamać im się przychodzi. Otóż świętym obowiązkiem tych pierwszych jest, nieść pomoc drugim. To jest: ci, którzy skutkiem wrodzonych zdolności lub upodobania celują w pewnym przedmiocie, powinni poświęcić kilka chwil dla ogółu i powtarzać wspólnie na godzinie wyłożone lekcye. Podzielmy się na oddziały i pod przewodnictwem jednego pracujmy wspólnie.

Jest nas mała gromadka, a przecież narzekaliśmy zawsze na brak jedności: zróbmy krok pierwszy, tworząc między sobą takie spółki naukowe, a przekonamy się niezadługo, że hasłem naszem będzie: Jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego!

× Szczęśliwy, kto obdarzony od Boga talentem, wyrobił go sumienną pracą na pożytek ludzkości i sztuki i na chlubę kraju — godny szacunku ten, kto talentu tego nie używa tylko do popisów miłości własnej, ale i na pożytek biednych: co już niejednokrotnie czyniła panna *Klotylda Bogdanowiczówna*. Znana dobrze i po za granicami kraju naszego ze znakomitego swego śpiewu, kształci się nieustanie na najlepszych wzorach i należy już dzisiaj niezaprzeczenie do najcelniejszych naszych śpiewaczek. Skoro się dowiedziała o funduszu, który się zbiera na wsparcie ubogiej młodzieży szkolnej, pośpieszyła przyczynić się do tego, zapowiadając na ten cel Koncert. Kto wie, ile podobne przedsięwzięcie wymaga starań, zachodów i zabiegów, ten jedynie potrafi ocenić czyn ten piękny i szlachetny. — Z koncertu wpłynęło kilkaset guldenów, kortyna zapadła i — koniec? — Rzeczywiście koniec. Bo rzecz dziwna! ani jeden dziennik krajowy nie poczuł się do obowiązku podziękowania pannie Bogdanowiczównej. Prawda, że była to właśnie chwila obradującego sejmu, lecz powiedzmy otwarcie, że jeżeli pewien dziennik pomimo tego znalazł dosyć czasu rozprawiać o jakiejś tam pannie Fibi, która wypompowawszy (jak słyszymy) do 800 złr. z kieszeń polskich, zostawiła po sobie wspomnienie kilku akordów klawikordowych, godziło się przecież przeznaczyć kawałeczek miejsca na podziękowanie artystce rodaczce, która z szlachetnym zapałem pośpieszyła (pierwsza z artystów naszych), z pomocą dla ubogiej młodzieży polskiej. — Lecz my nie jesteśmy niewdzięczni. W imieniu młodzieży dziękujemy całem sercem pannie Bogdanowiczównej, również panu Tytusowi Tycowi, który razem z artystką zajmywał się jak najgorliwiej urządzeniem koncertu i czynny miał w nim udział. Także panu Kozłowskiemu i panu Boguckiemu, którzy piękną swą grą uświetnili wieczór, podziękowanie nasze składamy.

Do „Funduszu dla ubogiej uczącej się młodzieży“ przybyło:

Z koncertu panny Klotyldy Bogdanowiczówny	305 złr.	—	ctw.
Ze składki pomiędzy uczniami gimnazyum tarnowskiego	15 „	50	„
Z przedstawienia teatralnego nadwyżka . . .	15 „	—	„
Olga z Lubyczy przysłała	48 „	50	„
P. Ludwik Hierowski z Niemirowa złożył: . .	1 „	20	„
Jaś Strzelecki	2 „	—	„
P. Kazimierz hr. Wodzicki z Olejowa obligacyę indemnizacyjną na	100 „	—	„
razem . .	386 złr.	20	ctw.
gotówką, i obligacya indemnizacyjna na	100 złr.	—	—

Na „Obrazy i Szkice“ złożyli przedpłatę: 111.) PP. Ludwik Hierowski z Niemirowa. 112.) Cielecki Ferdynand z Krakowa. 113.) Stablewski Antoni z Krakowa. 114.) J. Bełcikowski z Krakowa. 115.) Karol Wild ze Lwowa. 116 i 117.) Piotr Nawratil z Romanowa (2 ex.). — *Tom pierwszy* już wyszedł, zawiera 13½ arkuszów ścisłego druku, w 8ce. Drugi tom wyjdzie w przyszłym miesiącu. Przedpłata wynosi 1 złr. — po wyjściu drugiego tomu cena wynosić będzie 2 złr. Cały dochód z rozsprzedaży przeznaczony na „Fundusz dla ubogiej młodzieży szkolnej.“ Prenumeranci miejscowi odbierać raczą w księgarni p. Kajetana Jabłońskiego, u którego jest skład główny—prenumerantom zamiejscowym odsyłamy je z dzisiejszym numerem. Kto zażąda większej ilości exemplarzy dla rozsprzedania ich w kółku swych znajomych, raczy je zażądać od redakcyi „Czytelni dla młodzieży“ i dołączyć należytość, a takowe bezzwłocznie nadesłane mu zostaną.

Ks. Iz. Isak. w Stanisł. Trzeba płacić i za rzeczy, których się „nie żądało,“ jeżeli się je przyjmowało. Wszak prosiliśmy i prosimy, że kto z prenumeratorów „Czytelni“ nadal pisma trzymać nie chce, niech numer pierwszy kwartału odeszle na powrót do redakcyi z notką, że nie życzy sobie dłużej prenumerować. Jeżeli zaś kto pismo przez pół roku odbiera, a nie płaci za nie, nie powinien się potem dziwić, „że jest dłużnikiem,“ jeśli się redakcya upomagać ośmieli o należytość. A odsyłając z wymówką prenumeratę, która już dawniej zapłaconą być powinna, możnaby nawet zafrankować list. — Ks. Sad. w Turce. Przepraszamy najmocniej, że dotychczas jeszcze nie nadesłaliśmy numeru 29, ale nie jest jeszcze przedrukowany. — Panu Józ. Rog. w Kałuszu. Z pracy pańskiej redakcya nie może korzystać. Żądanej plenipotencyi nadesłać jeszcze nie możemy, zamawiamy sobie jednak dobre chęci pańskie na później. — Panu Tyt. Koryt. Korespondencyi pańskiej umieścić nie możemy, bo decyzya w tej mierze już zapadła. Plenipotencyę żądaną później nadesłać nie omieszkamy. — Panu Ludwikowi Rl. w Sanoku. — Poezyi J. Słowackiego dostać można w każdej z naszych księgarni krajowych, która wszelkie przesyłki pocztą uskuteczni. Wydanie kompletne kosztuje 8 złr.—ctw. Pan J. R. mieszka, o ile nam wiadomo w Kałuszu.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.